DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok II. — Poznań, 10 stycznia 1889 r. — Nr. 2.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 zlr. rocznie, 1 zlr. 25 cent. ćwierćrocznie z przesłaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciciele, odbierający „Dom polski“ w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, II. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko redakcya. — Inseraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednołamowego. — Pojedynczy numer „Domu pol.“ kosztuje 40 f. Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcya.

Wpływ poezyi polskiej
na powstanie listopadowe.

(Skreślił ***Dr. F. K.***)

(Dokończenie).

Zerwał się naród. Wrząca pieśń wajdeloty, poruszająca serca i umysły „Oda do młodości“ w jeden silny złączyły się akord, stały się hasłem, proklamacyą do walki. Szybkością błyskawicy, siłą grzmotu rozległ się ten akord po całej ziemi polskiej. „Hej! ramie do ramienia!“. . . ozwały się serca i żadna już siła ramion tych rozerwać nie mogła, bo je miłość spoiła.

Oto miłość ogniem zionie!
Wyjdzie z zamętu świat ducha,
Młodość go pocznie na swojem łonie,
A przyjaźń w wieczne skojarzy spójnie.

Wajdelota wyśpiewał hasło, wywołał czarodziejską laską mścicieli i spełniwszy, co wieszczowi przystało, do swej cofnął się wysokości. Mściciele zawołali:

Witaj, jutrzenko swobody!
Zbawienia za tobą słońce!

I poszli w tan.

Zagrała noc listopada,
Młodzież się w pary schwyciła,
Puściła się galopada,
Ziemia z radości tętniła;
Przy armat i dzwonów huku
Bal się rozpoczął na bruku.
Mazura! krzykli wiarusy
I zatańczyli w olszynie;
Kule — to dziewcząt całusy! —
Krew — oto szampan tak płynie!

Tak ogniście, tak raźno furknęły chorągwie, zabrzęczały szable.

Ale ongi Lechitów szeregi z Bogarodzicy imieniem na ustach rozbijały wrogie kolumny. Zatęschnił wojownik i teraz za królową Polski; aż oto wchodzi nowa gwiazda na niebo narodowej poezyi. Juliusz Słowacki czerpie natchnienie w chwili wybuchu i tworzy dla wojska wzniosłą pieśń wojenną: „Hymn do Bogarodzicy“.

Bogarodzico! Dziewico!
Słuchaj nas, Matko Boża,
To ojców naszych śpiew.
Wolności błyszczy zorza,
Wolności bije dzwon,
Wolności rośnie krzew.
Bogarodzico!
Wolnego ludu śpiew
Zanieś przed Boga tron!

Hymn ten, klasycznym owiany duchem, woła i pragnie, aby i w Rosyi go zrozumiano:

I tam są ludzie, i tam mają duszę.

Wspomina o ujściu dwugłowego orła:

Spojrzał i nie miał mocy
Patrzeć na wolne narody,
Olśniony blaskiem swobody,
Szukał cienia i w ciemność uleciał północy.

Pragnie, by powstanie wszystkie niegdyś wolnej ziemi zaległo zakątki, aby ptak zakrwawiony nigdzie spocząć nie mógł; — żąda tego naród, wahają się dowódzcy i stąd gorzkie słowa:

Wam się chylić przed obcemi!
Nam we własnych ufać siłach,
Będziem żyć we własnej ziemi,
I we własnych spać mogiłach.

A więc próżno — obcej nie czekać pomocy i za świętą sprawę:

Do broni, bracia, do broni!
Oto ludu zmartwychwstanie!

Z popiołów Fenix — nowy
Powstał lud, błogosław, Panie!
Niech zagrzmi pieśń, jak w dzień godowy.
Bogarodzico! Dziewico,
Słuchaj nas, Matko Boża,
To ojców naszych śpiew. —
Wolności błyszczy zorza,
Wolności bije dzwon,
I wolnych płynie krew.
Bogarodzico!
Wolnego ludu krew
Zanieś przed Boga tron!

Naród, który z takim hymnem wojennym szedł w bój zacięty, nie zrywał się lekkomyślnie. — Naród chciał wolności, wolności mu nie dano; poświęcił mienie i krew; rzucił na szale szczęścia byt swój cały, by wolność wywalczyć, silny powagą swych praw narodowych.

Pierwsze zwycięztwo! — i otucha piersi ogrzała. W tym czasie powstały sławne nasze pieśni wojenne, jakiemy się żaden inny naród poszczycić nie może, bo nigdy podobnym ożywiony nie był zapałem. Tej pieśni źródłem — natchnienie; myślą — wolność, celem — niepodległość, charakterem — serce narodu, melodyą — słowa zwycięzt! Nikt nie pyta o ich autora; stworzone — dźwięczą w ustach wszystkich, bo tam złożone wojska całego uczucia, myśl pojęcia — szczęście narodu, duch czasu na wskroś je przenika. Czytając, mimowoli szukasz rękojeści, bo zda ci się: dym walki cię owiewa, komenda dowódzców, okrzyk natarcia, jęk konających obija ci się o uszy, przed oczyma czerwono! . . . Takie pieśni mogły tylko powstać w namiocie, na pobojowisku, między ciałami poległych, w kurzu uciekającego wroga.

Historya przedstawia dzieje powstania sucho, pochód wojsk, zwycięztwa i klęski z wysokiego piedestału nauki ocenia. Kto chce poznać serce narodu, uczucie podczas tego krwawego boju, jak się wznosiło, jak spadało, w którą zwracało się stronę, ten niech go szuka w pieśni wojennej. Tu to serce, tu uczucie pochwycone na miejscu czynu, zrozumiane, zakrwawioną narysowane ręką, przedstawia się plastycznie, dotykalnie, jak wypukła rzeźba. W pierwszych chwilach walki widać tam tylko radość, świadomość dobrej sprawy, a przytem wybitne znamie szlachetnego charakteru polskiego — pewność, że słońce swobody, wzbiwszy się w pełni blasku na niebo Polski, ogrzeje ludy całej Europy, stopi korony na czołach despotów, rozkuje kajdany uciemiężonych:

Rok tylko życia! a dziecko olbrzyma,
Młodzieńczy naród, w siły świata wzrośnie,
Rok tylko życia! — a po jednej wiośnie
Słońce mnogiemi zabłyśnie oczyma!
My orłem białym wiewając na przodzie,
Gdy krwawy bęben zabrzmi wojny hasło,
Przechodzić będziem naród po narodzie —
Bagnetem błyszcząc — gdzie światło zagasło.

Tak śpiewa żołnierz-poeta, Stefan Garczyński, w chwili detronizacyi Mikołaja. Toż samo uczucie wre w piersi Seweryna Goszczyńskiego; są tam nieraz dzikie, namiętne wybuchy, jak natura ukraińska, ale niebawem milkną i przechodzą w czułe, delikatne dźwięki, jak w „Hymnie na 23 listopada“.

Srebrny nasz orle, już ty nam nie zginiesz,
O! dniu swobody, już ty nam nie miniesz,
O! ptaku cudzy, już do nas nie wrócisz,
Rąk nie skrępujesz i serc nie zasmucisz.
O! droga Polsko, o! ojczyzno droga,
Nie jękniesz więcej pod stopami wroga.

Najlepiej i najwięcej odbija się duch wojenny w „Pieśniach Janusza.“ W Goszczyńskim dźwięczy przede wszystkim struna uczucia narodowego, poruszającego ogólne idee z czasów powstania. Garczyński w wielu pieśniach swych łączy nadzieje Polski z całą ludzkością. Wincenty Pol, również poeta-żołnierz, jak dwaj pierwsi, nie idzie w pewnym kierunku, w jego pieśniach złączona całość poglądu i czynu narodowego; to jakby epopea, rozdzielona na tyle pieśni, ile wypadków, ile objawów gorącego uczucia. Żadne zdarzenie dla Pola nie za małem, aby go nie opiewać z każdej strony życia narodu. Pol po mistrzowsku podchwytuje chwile i po mistrzowsku je kreśli. Humor, fantazya staropolska, energia — to pieśni tych zalety, a przytem język ich taki cudowny, są one — rzecby można -- kute; wiersz Zaleskiego — to melodya; Pola — to rzeźba. Oto trzej główni żołnierze-śpiewacy, których natchnieniem żyło wojsko. Ich pieśni z zapałem przyjmowały szeregi; ich echo łączyło się z echem pieśni nieznanych autorów, a były i one marszami wojennemi w walce o wolność. Stosownie do chwili przerabiano je nieraz i zmieniano. Cała historya powstania w nich złożona. — Noc listopadowa, wypędzenie Konstantego, wybor dyktatora, detronizacya Mikołaja, zwycięztwo pod Stoczkiem, Grochowem, Wawrem i Dębem, klęska pod Ostrołęką, powstanie na Litwie i Rusi, zdobycie Warszawy, przejście do Prus i Austryi, niedola narodu, każda z radosnych, lub smutnych chwil znalazła swego śpiewaka. Dla walecznych synów ojczyzny była ta pieśń hymnem pochwalnym, dla wroga — przekleństwem, dla dyplomatyzujących wodzów — gorzką wymówką, dla zwyciężających — podzięką, dla prowincyi, niezrywających się do korda — zapalną pochodnią, dla całej armii powstańczej — rozkazem ojczyzny. Niestety! pieśń ta wojenna, ognista, zmieniła się w śpiew łabędzi. „Jutrzenka swobody“ poprzedziła „zbawienia słońce.“ Słońce to weszło — do połowy. W zenicie blasku czarne je okoliły chmury; niebo Polski ponuro ciemną zaległo obsłoną, a słońce zbawienia zaszło w czerwone morze krwi. Wojownik, co nie legł na pobojowisku, poszedł rany goić na obczyznie:

Stało się — wołał śmierci — umierać nie dali!
Na obcą ziemię pędzą nieszczęśliwą rzeszę.
Tylko jeszcze ostatni raz paść na kolana,
I teraz w pochód! — patrzaj — graniczny słup stoi!
Tyle ofiar — krwi tyle! napróżno przelana,
Rozłam broń — rzuć daleko — wbij nogą proch w ziemię,
Gdzie nas wiodą, tam zbrodnia pokazać się z bronią,
Kusiło się napróżno krocie wrogów o nią.

W ojczyźnie cmentarna cisza, przerywa ją brzęk kajdan, rusztowanie krwawą zaległo posoką. Tyle ofiar, krwi tyle! — czy rzeczywiście napróżno przelana? Nie! wolność nieokupiona, ale poczucie całości narodowej, wspólności sprawy w miejsce dawnego prowincyonalizmu silnie zwarło wszystkie serca polskie już na zawsze. Śpiew łabędzi nie skończył się śmiercią łabędzia i znowu dźwięczy męztwem i nadzieją. „Z popiołów nowy powstanie Fenix!“ nie z popiołów popalonych sioł, ale wstanie on z popiołów spalonej nienawiści:

Żrąca jest i paląca gorycz mojej mowy,
Gorycz, wyssana ze krwi i łez mej ojczyzny,
Niech żre i pali nie was, lecz wasze okowy.

Nie zapominajmy Hannibalowej wobec domowych penatów przysięgi, ale nie zapominajmy, że myśl Rylejewa, Bestużewa nie padła na opokę. „I tam są ludzie i tam mają duszę.“ Wschodzi ziarno rzadko, ale wschodzi; tych braci i tylko tych bratnią dłoń uściśnijmy — wieszcz Adam ją ściskał. Inny wróg nam grozi. Dziś cicha, wspólna praca przypadła nam w udziale. W dali widnieje wolność i oświeca drogę naszę ciemną nieraz i uciążliwą, więc z odwagą, rączo w czyn:

Ci niech się wezmą do pługa i roli,
Głową i sercem dzierzmy naszę ziemię;
Ci, wielcy wiedzą, niechaj piszą księgi,
Służmy ojczyźnie nie słowem, lecz czynem,
Aby widzieli, żeśmy nie umarli,
A będziem wolni!

Bigarreau.

Nowela
Andrzeja Theuriet.
(Tłom. J. D.)

(Ciąg dalszy.)

III.

Poczta, wiożąca listy do Chatillon nad Sekwaną, wychodziła o trzeciej godzinie rano z Auberive. W chwili, gdy ciężki, parą koni zaprzężony wóz okrążał kuźnię, aby wejść na górzystą drogę, prowadzącą do Recey sur Ource — chłopiec, mający trzewiki przywiązane u szyi, lotem błyskawicy wdrapał się na wierzch budy, chwycił za sznury, wiążące pakunki, zwiesił nogi i usiadł swobodnie. Hałas, spowodowany turkotem kół i tętentem koni, nie dozwolił drzemiącemu postylionowi zauważyć obecności nieoczekiwanego pasażera.

Wóz, okryty tumanem prochu, toczył się spokojnie aż do wierzchołka wzgórza; przejechał szybko przez wieś Germaine, gdzie wszystko jeszcze spało, i powoli poruszał się krajem lasów z Colmiers do góry. — Była czwarta godzina. Słońce, otoczone lekkiemi, różowemi obłoczkami, podnosiło się zza lasu w Auberive. Ukośne jego promienie przebijały ciemności, przetykając tu kobierzec bluszczu, tam pęk powoików z srebrnemi punkcikami, podczas gdy w głębi zanurzona w błękitnych cieniach droga pomiędzy dwiema spadzistościami, okrytemi kwitnącym dziurawcem i wilgotnemi krzewami malin, kręciła się wężykowato. Ptaki otrząsały pióra i świegotały w gęstwinie. Z oddalonego folwarku słychać bylo pianie koguta, niby róg sygnałowy. Osiągnięto najwyższy punkt płaszczyzny. Bigarreau, (on to był bowiem) trzymający się ciągle postronków przy budzie, pomyślał, że nie byłoby bardzo bezpiecznie jechać w dolinę, gdy sąsiednie lasy chłodny i pewny podają mu przytułek. W miejscu więc, gdzie koła musnęły naparstnicę, rosnącą na pochyłości, zsunął się w wilgotną trawę i w sposób niewidzialny opuścił wóz tak, jak nań się wdrapał; a ten po równej drodze puścił się truchtem i wkrótce znikł w pyle gościńca. Popatrzywszy trochę na chmurę kurzu, zmniejszającą się coraz więcej w czerwonem świetle wschodzącego słońca, Bigarreau przeskoczył fosę, wdział trzewiki i na los szczęścia wkroczył do lasu.

Szedł prosto Upojony odzyskaną wolnością — rozkoszował się bezchmurnem zadowoleniem, że może swobodnie krążyć wokoło, nie pytając, dokąd dąży i z czego żyć będzie Obecnie szło mu głównie o wprowadzenie w błąd nadzorców; zyskał już dwie godziny i sądził, iż nie odgadną kierunku, w którym się udał. W ten sposób, wyszukując gąszczy, a unikając przerzedzeń, przebył dobrą milę drogi. Po pewnym czasie teren stawał się coraz więcej spadzistym, a gdy Bigarreau szybko przebiegł wzdłuż rowu, znalazł się w głębi wąwozu, przez który strumyk przepływał.

Miejsce było samotne. Po obu stronach drzewami pokryte wzgórza podnosiły się prawie pionowo, osłaniając wązki pas łąki, w której między zajęczą kapustą, babką i innemi leśnemi ziołami strumyk wyrył sobie łożysko. Dwa czy trzy kosy, jedyni mieszkańcy doliny, były właśnie zajęte kąpielą, gdy Bigarreau z gęstwiny na brzeg wystąpił. Nic żenowało ich to wcale; a radość, jaką im ta wczesna kąpiel sprawiać się zdawała, zachęciła zbiega do naśladowania ich przykładu.

Prędko zdjął suknie i z rozkoszą zanurzył się w przejrzystej, wonią mięty pieprzowej i róż leśnych napełnionej wodzie Oczyściwszy się gruntownie, w celu obsuszenia wytarzał się po trawniku, słońcem ogrzanym; poczem, ubierając się zwolna, wpadł na pomysł rozsądny. Kaftan swój aresztancki zawinął w pakiet i schował pod wielki, płaski kamień w cieniu krzewów. Część ta ubrania miała przepisany krój więzienny — łatwo więc mogła go zdradzić; podczas gdy w koszuli z rękawami i w drelichowych spodniach od biedy mógł ujść za chłopaka wiejskiego. Po przeprowadzeniu środków ostrożności obejrzał się wokoło głodnemi oczami. Dnia poprzedniego wieczorem prawie nic za karę nie jadł, a po kąpieli próżnia żołądka powiększyła mu się w dwójnasób. Szukając pilnie, odkrył w trawie dojrzałe poziomki, a w gęstwinie nad strumieniem dzikie maliny. Śniadanie było sielskie, ale wykwintne i mistrz Bigarreau, splądrowawszy dokładnie poziomkowe i malinowe krzaki, uczuł się nieco odświeżonym. Przeto, ułożywszy głowę w cieniu, a nogi na słońcu, wyciągnął się na łące i ukołysany szmerem strumyka, zapadł w sen głęboki.

Błoga ta drzemka trwała blizko godzinę — gdy obudził go trzask trzeszczących gałęzi i wdzięczny, świeży głosik kobiecy, którego tony początkowe śnić mu się zdawały. Otworzył oczy do połowy z roztropnością, nabytą w zakładzie karnym, a która stała się już u niego drugą naturą — wszakże ani mruknął, ażeby modz widzieć jak najwięcej, sam nie będąc widzianym. Ostrożność wcale niepotrzebna — gdyż od dwóch minut był przedmiotem ciekawej obserwacyi.

Ujrzał zaledwie o dziesięć kroków od siebie oddaloną śpiewaczkę, której głos go obudził. Było to hoże, może piętnastoletnie dziewczę. Z koszykiem wpół napełnionym poziomkami w jednej, a z kawałkiem chleba w drugiej ręce stała nad brzegiem strumyka, zapominając o jedzeniu na widok nieznajomego śpiocha.

Bigarreau, ciągle nieporuszony, udawał, że śpi i rozważał, co ma mówić i czynić w tym stanie rzeczy; a wśród refleksyi przyglądał się ukradkiem nowemu przybyszowi.

Ubraną była w ściągniętą u szyi płócienną koszulę i krótką, wystrzępioną spodnicę, która gołe nogi w sznurowanych trzewikach prawie do kolan widzieć dozwalała.

Niezasłonięte ramiona, jako też twarz były spalone od słońca, policzki zaś biegiem i upałem lekko zarumienione. Bujne, brunatne włosy spięte luźnie rogowym grzebieniem, spadały jej w lekkich zwojach na szyję i na czoło, dochodząc aż do czarnych, szeroko otwartych oczu, które leżącego w wysokiej trawie Bigarreau ciekawie i niedowierzająco obserwowały.

Ex-numer 24 nieźle wyglądał, otoczony zieloną trawą. Kąpiel zmyła z niego brud więzienny, a usta i policzki odzyskały świeże kolory, które niegdyś przyniosły mu przezwisko „wisienki"; nadto swobodna pozycya śpiącego nadawała mu wygląd dobroduszny. Młoda dziewczyna nabrała otuchy i ośmieliła się zbliżyć do chłopca — a ten osądził z swej strony, iż nadeszła chwila stosowna do otrząśnięcia się z udanej senności.

Wyciągnął ramiona, jak ten, co się budzi, przetarł oczy i wsparty na łokciach podniosł się trochę. Figlarny uśmiech okolił dość duże usta dziewczyny.

— Twardy masz sen — zawołała.

— Do licha! — odparł Bigarreau odważnie — wiesz — gdy się jest zmęczonym, śpi się, jak borsuk. Sen wzmacnia, jak jedzenie.

— Zdaje się, żeś nie bardzo pościł — rzekła, spoglądając szyderczo na malinowe krzaki, które zgniecione przez poprzedniego zbieracza jagód jeszcze się nie podniosły. Tu było pełno malin, a teraz nie ma ani jednej.

Przyczem rozśmiała się wesoło, a Bigarreau zawtórował jej serdecznie.

— Ach! nędzny to posiłek — westchnął i spojrzał ukosem na duży kawał chleba dziewczyny — ledwie to czuć w żołądku.

Dziewczyna zdawała się wymowę ukradkowego spojrzenia rozumieć należycie.

— Jeżeliś głodny — odpowiedziała szybko — powiedz, chętnie ci dam połowę swego chleba.

— Nie pogardziłbym nim, gdyż od wczoraj nic jeszcze nie jadłem.

Rozłamała chleb na dwoje i grzecznie podała mu połowę z koszykiem poziomek.

— Weź — rzekła — ja mam dosyć.

Nie trzeba było przymuszać. Pochłonął wszystko. Dziewczyna, siedząc w trawie, patrzała z powstrzymywanym uśmiechem, jak połykał poziomki na równi z chlebem. Dziwiło ją to, odurzało nieomal. Chłopak zawstydził się swej żarłoczności, i skończywszy śniadanie, zwilżone łykiem wody, zaczerpniętej dłonią — szepnął:

— Teraz mi lepiej. Dziękuję ci śliczuie! Gdyby nie ty, byłbym może umarł z głodu.

— Rzeczywiście? — Zatem w domu nie jadłeś do syta?

— Nie zawsze — odparł lakonicznie.

— Czyś z Colomiers?

— Nie.

— Może z Val-Lerveux?

Spojrzał na nią znowu zaambarasowany; lecz jasne, śmiałe jej oczy wzbudziły w nim zaufanie.

— Jestem z pewnej miejscowości obok Auberive — odpowiedział. Znasz tamtę okolicę?

— Nie — ale mój ojciec tam chodzi. Czyż to nie w Auberive są więźniowie?

Na to nieprzewidziane pytanie chłopiec zmieszał się strasznie.

— Tak jest — zdaje mi się — wyjąkał wymijająco.

Zakłopotanie jego nie uszło uwagi dziewczyny. Spoglądała nań z trwożliwą bacznością, aż pod badającym jej wzrokiem zaczerwienił się cały. Ażeby więc zakończyć niemiłą sytuacyę, zaczął z swej strony wypytywać:

— Czem jest twój ojciec?

— Sabotnikiem — wyrabia z drzewa drewniane trzewiki. Obecnie pracujemy w wyrębie, należącym do Val-Lerveux. Przeszłego roku mieliśmy warsztat swój w lasach Gurgis.

— Dużo was tam pracuje?

— Tylko mój ojciec, ja i Champenois, nasz czeladnik.

— Jakże się nazywasz?

— Norina .... Norina Vincart. A ty?

— Ja .... *Bigarreau.*

Dziewczyna roześmiała się srebrzyście.

— Przecież to nazwa owocu, a nie chrześcianina.

— To przezwisko — objaśnił zwięźle.

— Ach! tak? — Jakże się nazywa twój ojciec?

— Mój ojciec? — Nigdy go nie znałem.

— A twoja matka?

— Dawno umarła — odparł Bigarreau smętnie.

— Moja także — rzekła łagodnie Norina — umarła, gdy jeszcze nie miałam lat dziesięciu.

Przez kilka minut zapanowała cisza. Bigarreau wzruszony kręcił łodygę mięty w zębach; dziewczyna zanurzyła rękę w wodzie, bawiąc się spuszczaniem drobnych, błyszczących kropelek na nagie ramie. Rzuciła przenikające spojrzenie na swoje *vis à vis* i rozpoczęła badanie na nowo:

— Czy służyłeś w Auberive? pytała.

— Tak jest.

— I uciekłeś od państwa, co?

— Trafnie odgadłaś — spiesznie odpowiedział — w nadziei, iż pozbędzie się kłopotliwego przesłuchiwania; ale nie liczył się z uporną ciekawością córeczki sabotnika.

— Jakże się twoi państwo nazywali? — dalej pytała.

Bigarreau, nieprzysposobiony na to, namyślał się nad wynalezieniem prawdopodobnego nazwiska, ale żadno nie przyszło mu do głowy. Poczem rozważył, że gdyby nawet na los szczęścia nazwał kogoś z Auberive, kłamstwo zaraz zostałoby odkryte przez sędziego śledczego w spódnicy. Zniecierpliwiony i podrażniony odpowiedział:

— Mój Boże — nie mogę sobie przypomnieć.

Uśmiech niedowierzania ukazał się na ustach Noriny.

— Masz krótką pamieć — rzekła z przekąsem.

Następnie zmarszczyła brwi — i patrząc nieszczęśliwemu Bigarreau prosto w oczy — pogroziła mu palcem:

— Czekaj! zawołała — mówisz nieprawdę! — Zdaje mi się, że przychodzisz z więzienia w Auberive, skąd uciekłeś za własnym urlopem...

Równocześnie szybko powstała i cofnęła się w tył o trzy, lub cztery kroki, podczas gdy Bigarreau, oszołomiony zupełnie, poskoczył również.

— Ach! — rzekła, mierząc dziko wyglądającego więźnia śmiałemi oczyma; nie potrzebujesz patrzeć na mnie, jakbyś mnie zjeść pragnął! wcale się nie boję — mogę w każdej chwili zawołać ludzi, którzy są tu w pobliżu.

— Ach! nie wołaj! — prosił Bigarreau stłumionym głosem — wolę ci prawdę powiedzieć: Tak jest, uciekłem z więzienia — ale nie masz się czego obawiać. Nikomu nic złego nie uczyniłem i nie uczynię, a tobie przede wszystkiem. Nie zdradź mię tylko, bardzo cię proszę.

Poczem szybko opowiedział jej całą swoję historyą, nie pominąwszy wypadków z dni ostatnich. Mówił o porządku więziennym — o bezlitosnem traktowaniu więźniów ich przez dozorców i pokazał ręce nabrzmiałe jeszcze od silnych rózgi uderzeń.

Norina zbliżyła się doń powoli, wreszcie uklękła w trawie. Z wzrastającem zaciekawieniem słuchała opowiadania Bigarreau; czarne jej oczy już wilżyły się łzami, już to błyszczały oburzeniem. Chwyciła nawet rękę zbiega i z współczuciem przyglądała się ciemno błękitnym pręgom, będącym wymownem świadectwem okrucieństwa dozorców.

— Łotry! tyrani — zawołała — bili cię? Co za podłość! — jeśli kilku razem jednego chłopca zbije na kwaśne jabłko. Ile masz lat?

— Skończę szesnaście.

— Tak samo, jak ja. A więc uciekłeś? Postąpiłeś bardzo słusznie — będąc na twojem miejscu równiebym zrobiła! Ale cóż teraz uczynisz?

Bigarreau odpowiedział, iż jedyną jego troską jest obawa ujęcia, gdyż wtedy kara byłaby okropną. Dla tego ma zamiar przez dzień ukrywać się w lasach, a nocą tylko wędrować — dopóki bardzo daleko nie odejdzie od centralnego więzienia. Wtedy gdzieś — w jakiej hucie wyszuka sobie robotę.

— Jestem silny — dodał, ukazując ramiona. Łatwo na chleb mogę zarobić. — Nie boję się żadnej roboty.

Norina zamyśliła się. Rozciągnięta w trawie, której źdźbła młodą jej pierś muskały — leżała spokojnie wsparta na łokciach z palcami we włosach zatopionemi. Pionowe zmarszczki, tworzące się przez brwi ściągnięcie wśród czoła — ukazywały, iż jakaś ważna myśl ją zajmuje.

— Czekaj — rzekła po kilku minutach — Sądzę, że mam, czego ci trzeba. Mój ojciec chce przyjąć ucznia. Potrzebuje go szczególnie teraz, gdy Champenois na czternaście dni poszedł do swoich. Cóż? czy byłoby ci przyjemnie nauczyć się robić saboty?

— Tyle przeróżnych robot wykonywałem, że nie jestem trudny w wyborze.

— Będziesz także dobrze ukryty. Prócz węglarzy z Val-Lerveux rzadko kto obcy się tu pojawia, wyjąwszy w jesieni, kiedy polowanie otworzą — ale wtedy opuścimy już nasze schronisko. Żandarmi z pewnością szukać cię nie będą.

— Ale czy twój ojciec zechce przyjąć chłopca zbiegłego z więzienia?

— To już moja rzecz — odpowiedziała Norina stanowczym tonem, z zabawną powagą — chodź tylko ze mną.

Wzięła go za rękę i poprowadziła wzdłuż strumienia aż do zakrętu, skąd wyrąb cały i obozowisko robotników można było zobaczyć.

Tu Norina swemu protegowanemu kazała usiąść za wierzbą, ostro zalecając trzymać się w ukryciu, pokąd go nie przywoła.

— Teraz idę z ojcem pomówić — rzekła — nie rusz się z miejsca. Gdy usłyszysz mię trzy razy naśladującą głos kukułki — wtedy sprawa będzie skończona i pozostanie ci tylko przybić umowę; wyjdę naprzeciwko ciebie.

Zręcznie przeskakując z kamienia na kamień, minęła strumień i poszła pomiędzy spiętrzonemi górami drzewa do wyrębu.

Siedlisko mistrza obuwia drewnianego składało się z wielkiej, stożkowej, omszoną ziemią pokrytej chaty i szopy z dachem chrustowym, gdzie zapas gotowych sabotów spoczywał pod warstwą wiorów i trocin. Właściwy warsztat znajdował się pod gołem niebem; a w chwili, gdy Norina przybyła, ojciec Vincart siedział na kłodzie i szkicował za pomocą topora zarys pary trzewików z pnia bukowego. Był to mały, skrzywiony, pięćdziesięcioletni człowiek, żywego usposobienia, z zagiętym nosem, zmysłowemi ustami i śmiejącemi się, wilgotnemi oczyma.

Gdy ojciec Vincart usłyszał kroki Noriny, podniósł głowę i przyjął córkę z filuternym uśmiechem, który małe zmarszczki przy oczach mu wyżłobił.

— He! — rzekł — nie wymawiając, dziewczyno — aleś sporo czasu na śniadanie swoje zużyła.

Dziewczę przybrało najpoważniejszą minę i rzekło tonem rozpieszczonego dziecka:

— Możesz się na to uskarżać, ojcze, gdy tylko twojemi sprawami byłam zajęta?

— Co? jakiemi memi sprawami?

— Czyś nie mówił niedawno wieczorem, że chętnie ucznia przyjąłbyś?

— Prawda — braknie mi Champenois — i chętnie wziąłbym kogoś, ktoby mi trochę pomógł. Lecz uczniowie nie rosną w lesie, jak grzyby.

— A jednak znalazłam jednego przy strumieniu, i zwerbowałam go dla nas.

— Co? zawołał sabotnik zdziwiony — wydaje mi się, mała, jakbyś trochę za szybko postąpiła; nie mogę przecie wziąż pierwszego-lepszego.

— Nie jest on też pierwszym-lepszym — odpowiedziała córka stanowczo — jest to tęgi chłopiec, który coś zrobić potrafi.

— A skądże jest ten chłopiec?

— Norina na chwilę spuściła głowę — poczem podniosła ją energicznie.

— Jest to chłopiec — rzekła — który był u koszykarza, ale bili go tam niemiłosiernie i uciekł. Spotkałam go przy strumieniu, a ponieważ był głodny, nakarmiłam go trochę.

Robotnik wstrząsł głową, miernie zadowolony.

— Piękne polecenie — pomruknął — dziwi mię tylko, żeś się tak włóczęgdze oszukać dała.

— Nie dałam się wcale oszukać — wypytałam go o wszystko najdokładniej i ręczę za to, że będziesz z niego zadowolony. Zresztą, jeśli mi nie wierzysz, ojcze, możesz go przyjąć, lub nie! Sobie tylko zaszkodzisz, a biedny chłopiec z głodu umrze na gościńcu.

Słowa ostatnie wyrzekła gniewliwym tonem, ściągając usta z grymasem.

Środek ten skutecznie podziałał na poczciwego Vincarta.

— Któż mówi o nieprzyjęciu? — odparł wpółnawrócony. — Nie powiedziałem: nie! — tylko nie mogę kupować kota w miechu i chciałbym go zobaczyć. — Gdzież się ukrył ten twój chłopiec?

— Pokażę ci go. Wreszcie nie weźmiecie ślubu ze sobą, a gdy Champenois powróci — będzie dość czasu odprawić Klaudyusza Pinson — jeśli ci się jego robota nie spodoba.

(C. d. n.)

TRZY BARWY.

Barw trzy miłością serdeczną
Silniej kochałem, niż życie;
Bardziej, niż jasność słoneczną,
Niż serce, niż krwi mej bicie!

Jeden z kolorów był biały,
Włos mego ojca zsiwiały,
Drugi, jak koral, czerwony,
Usteczka mej narzeczonej.

Trzeci — zieloność dąbrowy,
Zieloność łanów płaszczyzny,
Gajów, gór płaszcz szmaragdowy
Mej ukochanej ojczyzny.

Wszystkie trzy barwy zniszczyłeś,
Wrogu, łupieżco straszliwy!
Ojca starego zabiłeś,
W prochu starzałeś włos siwy.

Ty mi kochankę porwałeś,
Róża ust zwiędła i czoło,
Kraju zieloność zdeptałeś,
Niosąc mord, płomień wokoło.

Jednak miłością serdeczną
Trzy barwy kocham nad życie,
Silniej, niż jasność słoneczną,
Niż serce, niźli krwi bicie.

Pierwsza jest biała lilja,
Co się z mogiły rozwija,
Kędy śpią skarby miłości,
Ojca, kochanki mej kości.

Druga jest barwa czerwona:
Krew wasza, braci morderce,
Trzecia — murawa zielona,
Pod którą spocznie me serce.

Tak mówił młodzian, stojący
Na darni mogiły bratniej;
Na prochy drogie ostatni
Zdrój łez popłynął gorący.

Dokoło niego pożoga,
Śmierci zniszczenie wokoło,
Kulą przeszyty od wroga
Młodzian ku ziemi zgiął czoło.

Lecz, upadając mąż dzielny,
Widział trzy barwy kochane,
Jak mu przybytek śmiertelny
Zdobiły razem zebrane.

Bo na murawy zieleni
Wrogiej się krwi strumień pieni,
I co rok na grobie wiosną
Lilie śnieżyste mu rosną.

Karol Brzozowski.

NIBY BAJKA.

Napisał

Witold L.

Tęschna pierś się wznosi,
Łza oblicze rosi,
Smutek myśli ćmi...
Zmorski.

— O! jakżeś szczęśliwy — zawołał młodzieniec o wyniosłem, dłonią wspartem czole, patrząc przez otwarte okno na księżyc, który, jak wielka lampa, zawieszona u zenitu, oświetlał firmament niebieski. — Jakżeś szczęśliwy!... żadna woda, ni góra nie są ci zawadą i — największy szczęśliwiec! — przechadzasz się po łanach niebieskich; gwiazdy — to twoje towarzyszki, poeci — chwalcy i piewcy, a zakochani — przyjaciele! Spoglądasz na srebrne lody północy i od mroźnego wiatru zasłaniasz się chmurą, niby płaszczem, to odkryty cały i uśmiechnięty, oglądasz złote owoce południa. Widzisz ludzi o twarzach białych, czarnych, żółtych i miedzianych, oglądasz wody i piaski i góry i lasy... widzisz tyle i tyle!... O! tyś prawdziwie szczęśliwy.

* * *

— Wczoraj, odrzekł na to księżyc, byłem w mieście północnego poety, a zimno w tym kraju bajeczne. Śnieg twardy padał gęsto, a mroźny wicher, wyjąc przeraźliwie, pędził go po ulicach i świszczał złowrogo. Na ulicy przed bramą stała mała dziewczynka, skurczona od zimna; wiatr ostry ocierał się o nią, jak pies, gdy się łasi, śnieg wilgotny pruszył jej w oczy, a ona nie miała nawet fartuszka, którymby zsiniałe mogła okryć rączęta. Mało ludzi przechodziło ulicą, a ci, którzy przechodzili, nadto byli własnem zajęci szczęściem, żeby zwracać uwagę na nędzę bliźniego. Dziecię było głodne, zmęczone i miłosiernie spoglądało na mnie, jak gdyby się mem światłem ogrzać pragnęło. Lecz w niczem nie mogłem jej pomodz.

Raz po raz tylko spuszczałem jaśniejszy na nią smug światła srebrnego, aby ją ludzie łatwiej dostrzegli, lecz nikt nie użalił się nad dolą sierotki, nikt jej nie nakarmił, nie ogrzał.

Zmęczona, usiadła na kamieniu w postawie skulonej; łzy puściły się jej z oczu — zmarzły, na cienką spadając sukienkę, i, jak dyamenty nieszczęścia, błyszczały na tej małej, młodej, a już bólem złamanej istocie.

* * *

Płynąłem dalej i widziałem cyrk w wielkiem mieście. Błazny właśnie pobudzali publiczność do wybuchów śmiechu; szczególniej jeden z nich — jak mowiły panie — „był rozkoszny!“ Cała arena rozbrzmiewała śmiechem, począwszy od chłopców, którzy przez płótno ścian bezkarnie patrzeli w głąb' cyrku, aż do panów, rozpartych na aksamitnych siedzeniach. Błazen nie rzekł słowa jeszcze, nie poruszył jeszcze ręką, a już wszystko się śmiało, tyle, snać, materyału — śmiech budzącego — miał w sobie. A gdy żart jaki powiedział, kozła przewrócił, wysoką czapkę podrzucił do góry, przez drugiego przeskoczył, śmiech już granic nie znał i brawa brzmiały tak, że echem ulice napełniały. Wyszedł, zawołano go raz, drugi i trzeci — i za każdym razem przewyższał sam siebie.

Wreszcie uspokoił się zapał publiczności, a błazen, wszedłszy za arenę, usiadł zdala od kolegów cyrkowych na próżnem pudle i głowę ważąc w dłoniach... gorzko płakał.

On, błazen, który przed chwilą tysiące ludzi pobudzał do serdecznego śmiechu — sam serdecznie... płakał. — A czemu? nie wiem, lecz widziałem łzy, co mu spływały po twarzy, zmywając z niej białą farbę i spadały w trociny, cyrk wyściełające.

* * *

I dalej płynąc, zaświeciłem nad pustynią Afryki i widziałem naczelnika dzikich ludów, klęczącego przed skórą lwa, na której złożone było martwe ciało jego narzeczonej. Klęczał, a towarzysze broni, rozpaliwszy ognie święte, tańczyli noc całą wokoło nich, śpiewając hałaśliwie i uderzając oszczepem w puklerze ze skóry. Zmarła dziewica strojną była w perły i złote kolce — czarne jej ciało spowijał jedwab' niebieski. Naczelnik także powinien był tańczyć, według zwyczaju krajowców, jak to czynili ojciec, dziad i pradziad jego, lecz on, milcząc, klęczał nad zwłokami!... bogaty pióropusz spadł mu z głowy, oszczep porzucony zarył się w piasku, a on sam, dziki człowiek, płakał... jak dziewczynka głodna na kamieniu, jak błazen — na pudle!

Czyż najwymowniejszym wyrazem nędzy, złej doli i bólów serdecznych w s z y s t k i c h dzieci Bożych są... ł z y?

* * *

Młodzieniec opuścił głowę na piersi, bo..... marzył we śnie, a księżyc uśmiechnął się dobrotliwie i — musnąwszy go po twarzy srebrzystym promieniem — powędrował dalej!

TEATR.

Repertoar bieżącego teatralnego sezonu odznacza się wielką ilością sztuk nowych, czysto-polskich, bądź to komedyi i fars, jak: „Pospolite ruszenie“, „Dwór we Władkowicach“, bądź dramatów, jak „Lena“. — Ponieważ treść ostatniej znaną jest czytelnikom naszym z pism codziennych, dla tego pozwolimy tu sobie jedynie zaznaczyć grę artystów i dodać, że, jakkolwiek utwor pana J a s i e ń c z y k a razi oryginalnością pomysłu, nienaturalnością i przesadą, cennym jest jednak nabytkiem dla sceny z powodu wzorowego stylu, czystości języka i w ogóle wszelkich zalet formy.

Panna P a n k i e w i c z rolę tytułową pojęła — przypuszczamy — według myśli autora i zadowoliła też zupełnie przyklaskującą jej publiczność. W pierwszych aktach przedstawiła nam młode, naiwne dziewczątko, cieszące się nie tyle na godność mężatki, ile na suknię ślubną, w której jej będzie do twarzy — w dalszych zaś dojrzałą kobietę, patrzącą poważnie na świat, a żałującą, niestety! za późno swego wyboru. W trudnej scenie obłąkania dała panna Pankiewicz najwymowniejszy dowód, z jak głębokiem zrozumieniem, talentem i starannością wypracowała swą rolę.

Jan Rogocki pana J a n o w s k i e g o odznaczał się wielką naturalnością, swobodą, a przytem i smętną powagą nieszczęśliwie zakochanego młodzieńca.

Pan J a k u b o w s k i wywiązał się ze wstrętnej a trudnej roli hrabiego, nader umiejętnie — wykończywszy ją

w najdrobniejszych szczegółach w myśl rozumującej części audytoryum.

Pan Siedlecki, jako stary Zbrodowski, plastycznie uwydatnił onę fałszywie uzasadnioną dumę szlachecką, gotową poświęcić ukochane dziecię, aby tylko fantazyi swej zadosyćuczynić.

Pani Królikowska w rolę Maryi, matki Leny, wlała całą miłość macierzyńską dla ukochanego swego dziecięcia, wierząc nawet w chwilach najkrytyczniejszych w niewinność swej jedynaczki, broniąc jej odważnie tak przed mężem, jako i światem.

Pan Popławski charakterystycznie oddał rolę przyjaciela - pochlebcy i nieodstępnego doradzcy Gustawa, Kłońskiego.

Wreszcie pan Skirmunt był znakomitym typem na wskroś zepsutego starego egoisty w osobie antypatycznego księcia Jerzego.

Dnia 29 grudnia wznowiono od dawna już niegraną na scenie naszej komedyą Zalewskiego: „Przed ślubem“.

Helena nie kocha się w nikim — za mąż jednak wyjść musi, aby uratować mienie swej matki. Jako kandydat do ręki panny, zjawia się najpierw p. Klapkiewicz, bogaty obywatel wiejski. Niemożliwem jest jednak Helenie wyrobić w sobie jakikolwiek do pretendenta sentyment, bo zbyt jest głupi, brzydki i stary. Wtedy wysuwa się na arenę garbaty August Nowowiejski, który się „poświęca“ i pozwala się zakochać Helenie w malarzu Uszyńskim, na co matka i wuj prezes, którego skwitowano z opieki, wreszcie się zgadzają. — Oto krótkie przypomnienie znanej sztuki.

Pan Skirmunt, jako August Nowowiejski, był pomimo swego upośledzenia fizycznego sympatyczną postacią; w grze swej uwydatnił zdolny artysta całą zacność charakteru Augusta, na której to jednak zacności widz z powodu ciągłego sarkazmu bohatera dopiero w końcu poznać się może.

Pan Siedlecki rolę Klapkiewicza okrasił humorem i swobodą, a szczęśliwie ustrzegł się przesady, za co zyskał burzę oklasków.

Panna Pankiewicz, jako Helena, zrozumiała poświęcenie się wobec nieprzemawiających do jej usposobienia istot, jedynie z miłości ku matce i dla jej szczęścia.

Pan Trapszo w roli profesora Uszyńskiego był, jak zwykle, nader komicznym.

Pan Jakubòwski, jako malarz Uszyński, wywiązał się ze swego dość mozolnego zadania starannie, i przedstawił swą rolę w właściwym charakterze.

Pani Siedlecka uwydatniła dobrze chciwą i bez serca naturę Łuckiej, nie wahając się ani chwili, by sprzedać córkę, byle tylko utrzymać majątek w swych rękach.

W czwartek dnia 3 b. m. wznowiono wielokrotnie, a zawsze z powodzeniem grywanego „Ulicznika paryzkiego.“

Pani Czaplińska w roli tytułowej Ludwika — zdaniem naszem — za nadto szarżowała; nie możemy wymagać po „uliczniku paryzkim“ salonowej dystynkcyi, ale w każdym razie niceo mniej rubaszności i przesady.

Elizę bardzo sympatycznie przedstawiła panna Czechowicz. Z prawdziwie kobiecą godnością ta biedna a jednak dumna zwiedziona dziewczyna, pogardza złotem i dostatkami, żądając jedynie serca w zamian za serce i wiarę swą bez granic.

Bizot pana Trapszy należy bez wątpienia do najlepszych uzdolnionego tego artysty kreacyi. Podobnie przedstawione typy starych emerytów często zwłaszcza spotkać można w wielkich miastach, bo tam więcej, niż gdziekolwiek, zajmują się starzy kawalerowie plotkami.

Ze sztuk tak nazwanych „niedzielnych“ widzieliśmy dnia 6 stycznia dramat w 8-miu obrazach, p. t. „Złodziejka,“ w której pp. Królikowska, Trapszo i Popławski rej wodzili.

St.

Wiadomości literackie, artystyczne, bieżące i rozmaitości.

Ks. Załęski wydał w Krakowie poważne dzieło p. t. „Dzieje masonii“.

Repertoar sceny polskiej wzbogaci się wkrótce płodami pracy znanych zaszczytnie dramaturgów. I tak wedle „pogłosek“ „Echa muzycznego“ pisze Józef Bliziński jednoaktówkę: „Dzika różyczka“; Bałucki wykończa czteroaktową komedyą społeczną, a Zalewski „Synów bogów“; Lubowski pracuje jednocześnie nad jednoaktówką i utworem scenicznym szerszych rozmiarów; Józef Kotarbiński i Michał Wołowski wspólnemi siłami tworzą komedyą tendencyjną; Stanisław Kozłowski pisze dramat z dziejów Florencyi, a Abrahamowicz i Ruszkowski na tle stosunków galicyjskich; wreszcie Zygmunt Przybylski przerobił dla sceny fragment dramatyczny: „Mały“.

Z nowym rokiem zaczęło wychodzić w Poznaniu nowe czasopismo p. n. „Staszyc,“ przeznaczone — jak głosi prospekt — dla ludu i młodzieży, a mające na celu szerzenie oświaty, oraz zamiłowania do pracy i oszczędności. „Staszyc“ jest dalszym ciągiem założonej przez ks. Tłoczyńskiego „Gwiazdy,“ która, świecąc czas jakiś na firmamencie, spadła i znikła, jak niejedna z jej siostrzyc. Pierwszy numer „Staszyca“ zawiera wiersz, poświęcony pamięci znakomitego autora „Przestrog dla Polski,“ mecenasa nauk i prawdziwego ojca ludu polskiego; dalej „Słowo wstępne,“ w którem redakcya, polecając swe wydawnictwo życzliwości i opiece braci-rodaków, mówi głównie o oszczędności, zalecając ją, jako cnotę, „jako konar wspaniałego drzewa wstrzemięźliwości.“ Pierwszy ten numer zdobi głównie piękny wiersz Seweryny Duchińskiej: „Piast i Rzepicha,“ z odnośnym obrazkiem Piasta, rysunku Walerego Eliasza; również tejże autorki początek nowelki p. n. „Dzienniczek Janiny.“ Redaktorem „Staszyca“ jest znany powszechnie, zasłużony na polu ludowego piśmiennictwa p. Józef Chociszewski, nie wątpimy zatem, że pod jego umiejętnem i starannem kierownictwem nowe czasopismo z powodzeniem rozwijać się będzie i zyska wkrótce poważną liczbę przedpłacicieli, zwłaszcza, że prenumerata wynosi tylko 60 fen. kwartalnie.

Ks. Pędziński, który, jako proboszcz święto-marciński, tyle około dobra powierzonej sobie parafii zasług położył, wyniesiony został do godności kanonika i kaznodziei katedry poznańskiej, ku wielkiej radości licznych swych przyjaciół i wielbicieli, którzy w tem wyniesieniu niezmordowanego, czujnego, prawdziwie ewangelicznego dusz pasterza słuszną za wieloletnie Jego trudy widzieli nagrodę. — Aby ze swej strony uczcić zasługi, zarazem pożegnać dotychczasowego pasterza i powinszować Mu świeżo otrzymanego dostojeństwa, udał się na kanonią w imieniu parafian z 10 obywateli złożony komitet, a jeden z jego członków, hr. Engeström, w pięknej, podniosłej mowie wypowiedział uczucia przywiązania, czci i wdzięczności, jakie ożywiają serca wszystkich parafian kościoła św. Marcina ku dotychczasowemu ich duchownemu Ojcu. Po przemówieniu wręczyli przybyli obywatele szanownemu ks. kanonikowi, jako „skromną daninę

wdzięcznego serca i przywiązania," insygnia nowego Jego dostojeństwa w postaci złotego łańcucha z dystynktoryum i napisem: „Wdzięczni parafianie księdzu proboszczowi Pędzińskiemu 1888 roku." — Ks. kanonik w niemniej serdecznych i pełnych wzruszenia wyrazach podziękował parafianom za okazaną sobie pamięć i miłość.

Znany naszej publiczności artysta, p. Łucyan Kościelecki, otworzył drugi teatr w Łodzi pod nazwą „Thalia", gdzie dawane będą same operetki; w dawniejszym zaś teatrze „Victoryi" tylko dramat i komedya. Tamtejsze pisma słuszną wyrażają obawę, czy na tem przepołowieniu sił artystycznych i publiczności, a przy powiększeniu tym sposobem kosztów nie ucierpi sprawa polskiego teatru w Łodzi.

Medyolański dziennik „Il mondo artistico" donosi, że rodak nasz, Jan Reszke, zaręczył się w Paryżu z panną La Richard, artystką wielkiej opery.

„Artystyczne towarzystwo" w Wiedniu mianowało swym honorowym członkiem Jana Matejkę.

„Beseda" czeska, rodzaj klubu, istniejącego dość dawno w Warszawie, ma być zamkniętą dla braku poparcia.

Hygieniczną, centryfugalną mleczarnię otworzono w Warszawie pod kierunkiem Dr. Nenckiego.

Konkursa piękności coraz więcej wchodzą w modę. Obecnie Turyn przysposabia konkurs piękności wyłącznie włoskich i południowych.

W Stanach-zjednoczonych wyroki śmierci wykonywać się będą za pomocą elektryczności.

W Brukseli otrzymała panna Popelin, doktor prawa, dyplom na adwokata z rąk generalnego prokuratora.

W Krakowie powstało i rozpoczęło już swą działalność „Stowarzyszenie pomocy naukowej dla kobiet" imienia J. I. Kraszewskiego.

Syn sławnego w naukowym świecie Karola Darwina, Franciszek Darwin, mianowany został obecnie profesorem botaniki w Christ-College, w Cambridge, gdzie ojciec jego r. 1827 rozpoczął swe studya.

Promyki.

Zebrała

Zofia An.

Ty wiesz, że nam na życia wytknięto kolei
Chwilę szczęścia, pół smutku, drugie pół — nadziei!

Kaź. Brodziński.

Czego na nas nie może matka i kochanka? . . .
One lwa czynią z tchórza, z tygrysa baranka.

Cyprian Godebski.

Mężki czyn iść do sławy przez ogień kartaczy,
Lecz uciec od rozkoszy większe męztwo znaczy.

Antoni Górecki.

Niechaj kole cierniem róża,
Niechaj parzy mnie pokrzywa,
Ręka z wolą się przedłuża,
I co trudniej — śmielej zrywa.

Bohdan Zaleski.

Brud zawsze brudem, myj go sofizmami,
Pierz lat tysiące — on zawsze cię splami.

Z. Krasiński.

Biada tej ziemi, gdzie ciepło słoneczne
Nic rozpromienić, nic rozgrzać nie zdoła,
Biada tym sercom, gdzie słowo serdeczne
Gorejącego echa nie wywoła.

K. Baliński.

Życie jest potrawą, którą każdy przyprawia do swojego smaku: pieprzem, solą, octem, lub cukrem, a wszyscy potem mają wargi spalone. Na tę zgagę jedynym doktorem jest . . . śmierć.

Kraszewski.

Szarada.

Ułożyła Zofia An.

Pierwsza — litera; trzecia-ostatnia — litera,
A sylaba w środku myśli nie zawiera.
Całość zbyt dobrze znana tu, w naszej stolicy,
Spotykasz ją nieomal na każdej ulicy:
Kirem odziana — w dół spuszczona głowa —
Z zaciętych ustek ciche wychodzą słowa,
A tak szybkie, że umysł twój wierzy,
Iż to szept pobożnie mówionych pacierzy.
Tymczasem . . . to litosna nad bliźnim kontrola:
Jak nie mówi różańca cna pani Karola,
Frania głowy zawraca, śmieje się za wiele,
Mania czarnemi oczki strzela po kościele,
Pan Adolf, spotkawszy Kazię na ulicy,
Odprowadził do samej bramy kamienicy,
Wyraźnie jakieś złe zamiary knuje! . . .
Pan Stefan na wielkie majątki poluje,
A Staś spija koniaczki, koleżków „funduje"!
To wszystko poruszane na stopniach kościoła! . . .
. . . .
— Toż żyje na to! — Czytelnik zawoła.

Za dobre rozwiązanie powyższej szarady redakcya nadeśle wylosowaną nagrodę.

LISTKI.

Panu Łodzicowi: Stosownie do życzenia, zdanie nasze o powiastce „Zdrajca" wypowiemy listownie pod podanym adresem — dnia 15 b. m

Marsowi: Nie uwzględnilibyśmy nawet samego Jowisza w zapuszczonej przyłbicy. Zresztą „śmiałemu wobec płomiennych oczu rycerzowi" dajemy radę, aby — zanim na widok publiczny wystawi swe „Fantazye" — dowiedział się wpierw z poetyki, co to średniówka, co rym a rytm — i że nawet wiązana mowa jasną i zrozumiałą być winna.

Redaktorka Teofila Radońska w Poznaniu. — Czcionkami i nakładem drukarni Dziennika Poznańskiego.